

Zagubione stulecie

10 lutego 2019

Gdzie w akademickiej dydaktyce historii podział się cały dwudziesty wiek z jego modelami myślenia historycznego? Niestety, tego nieszczęsny student historii w naszym kraju się nie dowie.



Trzy pokolenia „Annales”, mikrohistorie, zwrot lingwistyczny i narratywistyczny, Foucault... Dydaktyka akademicka z reguły przechodzi obojętnie wobec metodologicznych sugestii znaczących myślicieli XX stulecia, które dla historiografii ma bodaj największe znaczenie. Owszem – słynne nazwiska, żeby w papierach się zgadzało, student pozna w ramach jednego przedmiotu, od strony teoretycznej. A życie swoje! Sposób nauczania historii akademickiej zatrzymał się na modelu zaproponowanym przez Leopolda von Ranke w latach 1820., czyli 200 lat temu... Ale co tam to lekkie opóźnienie cywilizacyjne... I tak pyszni się przed innymi naukami humanistycznymi i społecznymi – jedne wyszydzając za interdyscyplinarne podejście, inne rugując za to, że spokojnie dałoby się je zaliczyć w poczet historii – np. religioznawstwo.

Studia historyczne bez wątpienia skrzywdził system boloński. Za jego sprawą liczba lat nauki zredukowała się do trzech –

kompetencje w zawodzie zyskujemy wraz ze stopniem licencjata; tylko w tym przypadku możemy też liczyć na solidną dawkę wiedzy. Wiedza ta jednak przekazywana i przyswajana jest w zawrotnym tempie – w trzy miesiące student musi opanować całą epokę. A robi to od podstaw, bowiem ze szkoły średniej przychodzi z wiedzą, która przypomina klechdy domowe. Materiał jest tak obszerny, że nie ma szans, by w tym czasie ułożyło się to w głowie. O utrwaleniu nawet nie ma mowy. Jest jeszcze całkowite przeciwieństwo licencjatu, czyli nudne i uciążliwe studia magisterskie. Na nie z reguły nikt nie ma pomysłu i uchodzą tylko za formalność. Z litości spuszcza na ten temat zasłonę milczenia.

Chcę wierzyć, że lista grzechów w metodach kształcenia akademickiego na historii to wina systemu 3+2. Wypunktujmy je.

Czego mi brakuje w modelu edukacji przyszłego historyka?

1. Nauki myślenia syntetycznego, umiejętności tak istotnej, jeżeli chodzi o proces rozumienia dziejów i – co za tym idzie – tego, co dzieje się wokół.
2. Odbrażowania i demitologizowania wydarzeń i jednostek. Dyktowanie tego, kto wielkim poetą był zostawmy dla uczniów szkół podstawowych, którzy jeszcze nie widzą i nie są w stanie zrozumieć rzeczywistości w odcieniach szarości.
3. Dopuszczenia do głosu innych nauk humanistycznych (co się zowią, bardzo protekcjonalnie zresztą – nauki POMOCNICZE historii; i nie mówię tu o heraldyce), których odpowiedzi i stanowiska wzbogacają perspektywę poznawczą historyka.
4. Za krzywdzące uważam spychanie historii gospodarczej i społecznej na margines rozważań – wpływa to na postrzeganie świata przez młodego człowieka, który nie będzie miał później pojęcia, że za kulisami teatru polityki rozgrywają się prawdziwe światowe interesy i nurty, których polityka jest tylko projekcją. I że zawsze tak było – i będzie.

Co zaś razi w narracji tak, aż dusza jęczy? Pielęgnowanie myślenia mitycznego, przemycane ideologie i grzech europocentryzmu.

A fe! Za mało się uczymy od kolegów filozofów i antropologów, którzy w wydawaniu ocen i używaniu wartościujących pojęć są ostrożniejsi. Taki ich zawód, ale to nie znaczy, że my jesteśmy w swojej roszczeniowej egzaltacji usprawiedliwieni! Że w nauczaniu dziejów, zwłaszcza rodzimych, musimy odreagowywać krzywdy naszego narodowego ego.

O ile prowadzący jeszcze z reguły zachowują wstrzeźliwość ideologiczną wywodu, o tyle działwa pozwala sobie do woli na obelgi pod adresem grup społecznych i jednostek, na uwagi natury politycznej, na antynaukowy bełkot. Boli mnie, że w takich sytuacjach niekiedy brak jest reakcji ciała pedagogicznego. W takich sytuacjach należy sprowadzać towarzystwo do pionu, bo ci opętani teoriami spiskowymi ludzie, kiedy wyjdą z uczelni, pójdą z tymi bredniami – do dzieci w szkołach! Nie umywajcie rąk, naukowcy-dydaktycy, bo będziecie mieli głupotę przyszłych pokoleń na sumieniu!

Boli mnie też, że naukowców-indywidualistów, którzy ośmielą się prowadzić badania nad trochę mniej typowym zagadnieniem, traktuje się z góry i wyraża lekceważąco o ich pracy. Historykowi kulinariów obrywa się zatem, że najada się za pieniądze z grantu, które potrzebne są wszakże gdzie indziej,

a specjalistom od dziejów relacji kulturowych człowieka ze zwierzętami, że pieski i świnki to temat dobry do badań dla rozkapryszonych pensjonarek (pragnę przypomnieć przełomową rolę, jaką dla społeczności ludzkich neolitu odegrało udomowienie canis lupus i początki hodowli trzody chlewnej). Przecież nie wszystko wojna na tym świecie!

Wierzę, że to wszystko wina tego przekłętego systemu. Ale czyż inne dyscypliny nie muszą się z nim zmagać? Oprócz psychologii i prawa, które się jakoś uchowały (na szczęście; nie mam na

tylę rozwiniętej wyobraźni, żeby móc zwizualizować sobie terapię u psychologa po licencjacie), muszą wszystkie. Zatem żadne to wytłumaczenie! A jednak po studiach na filologii polskiej i antropologii kultury na dwóch uczelniach w różnych regionach Polski, ze łzą w oku stwierdzam (bo to były moje najpierwsze studia), że największe zakute łby wśród studentów bytowały niestety właśnie na historii. Klimat musi zatem sprzyjać. Spowodujmy zatem jego zmianę i uwolnijmy tę dziedzinę z anachronizmów. Otwórzmy głowy na całość doświadczenia ludzkiego w dziejach, na to, co zdobył dla historiografii XX wiek – nawet z pełnym sceptycyzmem i relatywizmem postmodernizmem.

* * *

Chciałabym za to podziękować wszystkim uniwersyteckim Osobowościom z UŁ, które pomogły mi otworzyć niektóre klapki w głowie i dzięki którym zdobyłam bazę pod zgłębianie wszystkich innych dziedzin humanistycznych, czym teraz z powodzeniem się zajmuję. Bo historia jest bazą do zrozumienia wszystkiego, co ludzkie.

Autorstwo: Anita Brzyszczyńska

Zdjęcie: [Geralt](#) (CC0)

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)